



Fot. FR. MYSZKOWSKI

Teatr Narodowy

Irena Bołtuć

Mało w 1920 roku brakowało, by Tadeusz Rittner podjął się pełnienia roli dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie. Nie doszło do tego. Dziś, po 47 latach, Rittner wrócił do Teatru Narodowego, oddając Mrożewskiemu dyrektorską rolę... w „Człowieku z budki suflera”. W języku aktorskim „rola dyrektorska” — to błyskotliwy epizod w I akcie, po którym można spokojnie iść do domu czy na wódkę, zaliczając sobie równocześnie normę. Słowem rola, jaką zwykł był zachowywać dla siebie dyrektor-aktor. Rola Mrożewskiego nie jest taką rolą. Jest rolą dyrektorską, ponieważ gra on dyrektora teatru, ponieważ jest to rola kierownicza i prowadząca w całym spektaklu, co już nie z intencji Rittnera wynika, a z mistrzowskiej interpretacji samego Mrożewskiego. I w tym nie ma nic złego, jest natomiast prawdziwym pechem, że jest to jedna z dwóch w ogóle zasługujących na wspomnienie ról w spektaklu. Jedna z dwóch na 20 osób obsady. Jak na Teatr Narodowy — trochę za ubogo. Gdyby nie kreacja Zdzisława Mrożewskiego, gdyby nie jego subtelna ironia, dowcip, błyskotliwość i wyczucie rittnerowskiego stylu — trudno byłoby w ogóle zrozumieć sens tego spektaklu na czołowej scenie polskiej. Gdyby nie Mrożewski — trudno byłoby uwierzyć, że Rittner napisał komedię... Romantyczną, poetycką, przewrotną — ale jednak komedię.

Obok Mrożewskiego jest w przedstawieniu jeszcze jedna postać z Rittnera — to „habitué” czyli bywalec Kudelius — delikatnie i poetycko zarysowany przez Jana Kobuszewskiego. Mrożewski jest bardziej komediowy, Kobuszewski bardziej poetycki. Mrożewski jest bardziej z Shawa, Kobuszewski z Szaniawskiego. Obydwaj jednak grają cały czas Rittnera. Koncertowo. Na cztery ręce. Niestety, poza tym duetem innych instrumentów albo nie słycać, albo — co gorsza — słycać w fałszywej tonacji. Większa w tym wina dyrygenta niż grających, tym bardziej, że o fakcie wyreżyserowania sztuki dowiadujemy się raczej z programu, niż ze spektaklu. Może za czasów Eweliny Corelli i Henryka Wizelina było to jeszcze dopuszczalne, choć i tak mogło się zdarzyć jedynie „w mieście prowincjonalnym”, gdzie lokuje Rittner akcję sztuki. Dziś tego

rodzaju sytuacja jest niedopuszczalna. Tak w stolicy, jak i poza nią.

Zresztą notatkę odautorską o miejscu akcji sztuki należy traktować z przymrużeniem oka. Rittner chciał się zabezpieczyć przed posądzeniem, że wykpiwa Wiedeń. Nie naruszalny wzór i doskonałość CK Austro-Węgier. Uczynił więc podobnie przezornie, jak wielu pisarzy współczesnych, którzy na kartach tytułowych dają adnotacje: „wszystko jest zmyślane, zbieżność nazwisk, osób i faktów jest przypadkowa i nic nie znaczy”. Oczywiście dzięki temu wszyscy doszukują się analogii, preparują klucze, kluczyki, wytrychy, a nawet łomy do rozwalania szyfowych zamków. „Człowiek z budki suflera” rozgrywa się niewątpliwie w Wiedniu, co może ówczesnie miało smak dodatkowy, a dziś rzutuje na całość sztuki. Reperkusje tego można odnaleźć w koncepcji scenograficznej warszawskiego przedstawienia, w malowanych kulisach i formach, jak z wiedeńskiej fabryki dekoracji teatralnych; we wnętrzu wiedeńskiej kawiarni, podkreślającym atmosferę artystyczną czasów samego Franciszka Józefa...

Za czasów Rittnera pisarze zaczęli od nonsensów, poezji i pustek na widowni, a kończyli na komercyjnych sztukach obyczajowych i pełnej kasy. Dziś dzieje się odwrotnie. Każdy szanujący się polski dramaturg, który osiągnie minimum sprawności warsztatowej i nieco powodzenia, poczytuje sobie za punkt honoru napisanie monumentalnego czystego nonsensu, „absurd drama made in Poland” i wystraszenia ostatniego widza z krzeseł teatru. Może właśnie dlatego młody, za młody do tej roli zarówno wiekiem jak i wyrobieniem aktorskim, Damian Damięcki, nie potrafił zagrać początkującego poety. Po prostu nie był w stanie pojąć odmiennej kolejności wypadków. Kariery dramatopiskiej à rebours.

Hanna Zembrzuska, grająca w I akcie młodą, już nieco rozkapryszoną gwiazdę, Ewelinę Corelli, w następnych 3 aktach zupełnie i bez reszty się zagubiła, nie wyróżniając się w ten sposób od wielu swych koleżanek i kolegów. Barbara Rachwańska w akcie I — ciepła, zatroskana wdowa po poborcy podatkowym i matka poety — już nie poradziła sobie z dalszym ciągiem. Igor Śmiałowski i Aleksander Dzwonkowski wstąpili tu przypadkiem z „Domu otwartego”, Zofia Tymowska — może z Pirandella, Krystyna Kamieńska nie przebrnęła poza I akt. Trzy panie w epizodkach: Barbara Fijewska, Elżbieta Borkowska i Jolanta Russek — były poprawne.

Są sztuki, które wystawia się dla ich wleczystej aktualności. Są takie, które nagle, nieoczekiwanie uzyskują doraźną aktualność. Są sztuki, które gra się, bo wzruszają lub śmieszą. Są sztuki, mające nieprzemijającą wartość intelektualną lub wykazujące odkrywczą znajomość ludzkiej psychiki. Są też takie, które gra się dla ról. Ciekawie napisanych, dających pole do interpretacji aktorskiej. Sztuki Rittnera należą obecnie niewątpliwie do tej ostatniej kategorii. To zapewnia im miejsce w repertuarze, to zyskuje im sympatie aktorów, to interesuje w nich reżyserów. Ale dla Rittnera trzeba bezbłędnej obsady. Sam się nie zagra.

Teatr Narodowy — Tadeusz Rittner
Człowiek z budki suflera, reżyseria — Wanda Łaskowska, scenografia — Lucja Kossakowska.

premi. 21 VII 1967